

Ustosunkowanie się do wymienionych wyżej uwag uczyniłoby z pewnością pracę Katrin Himmler i Michaela Wildta nieco bardziej precyzyjną. Pragnę jednak zaznaczyć, iż wskazane przeze mnie mankamenty nie rzutują mimo wszystko na ostateczny odbiór książki. Publikacja została przygotowana w oparciu o rzetelną bazę źródłową oraz z zachowaniem konsekwencji w warstwie analityczno–interpretacyjnej prezentowanych listów. Cieszy fakt, iż na polskim rynku wydawniczym bardzo szybko ukazał się przekład niemieckiej wersji, jest to bowiem pozycja niezastąpiona dla osób zawodowo zajmujących się ideologią narodowego socjalizmu czy postacią samego Reichsführera SS.

Heinrich Himmler wyłaniający się z *Listów ludobójcy* jawi się jako osoba, która wyniesioną z domu rodzinnego dyscyplinę przekładała na swoje prywatne życie w późniejszym okresie. Poza tym cechą charakterystyczną Reichsführera SS jest także determinizm w podejmowanych przez niego działaniach: niepowodzenie nie skłaniało go do poddawania się, ale raczej wpływało na zdwojenie wysiłków do osiągnięcia wyznaczonego celu. Z kolei listy Margi utwierdzają w przekonaniu, że do końca była lojalna wobec Himmlera. Nigdy też nie wyraziła jakichkolwiek wątpliwości co do życia u boku masowego mordercy. Ich córka Gudrun, dążąca w latach powojennych do rehabilitacji ojca, „wobec biografia Himmlera, Josefa Ackermanna reprezentowała pod koniec lat 60. pogląd, że *tylko najwierniejszemu*, a więc jej ojcu, Hitler mógł powierzyć *pozbycie się odpadów Rzeszy*” (s. 385). *Listy ludobójcy* pozwalają zatem poznać Heinricha Himmlera z nieco innej perspektywy niż we wszystkich opublikowanych na jego temat prac do tej pory. Himmler jest tu bowiem nie tylko Reichsführerem SS i szefem niemieckiej policji, komisarzem Rzeszy ds. umacniania niemieczyny czy dowódcą Armii Rezerwowej Wehrmachtu. W *Listach ludobójcy* Heinrich Himmler jest przede wszystkim głową rodziny: mężem Margi Boden i ojcem Gudrun.

Alicja Bartnicka  
Toruń

Patryk Pleskot, *Miasto śmierci. Pytania o morderstwa politycznej popełnione w Warszawie (1956–1989)*, Warszawa 2015, Instytut Pamięci Narodowej, ss. 345

Z okładki książki Patryka Pleskota wieje grozą. Traktując serio tytuł tej publikacji, czytelnik miałby podstawy przypuszczać, że Warszawa należała do najbardziej niebezpiecznych miejsc w Europie, a mieszkańcy „miasta śmierci” obcowali z tajemniczymi morderstwami prawie że na co dzień. W trakcie lektury okazuje się jednak, że autor w ogóle nie próbuje odnieść się do wymowy użytych słów, toteż szybko nabieramy przypuszczenia, iż posłużył się nimi wyłącznie po to, aby przyciągnąć uwagę spragnionego sensacji odbiorcy. Jest to postawa dość rozpowszechniona dzisiaj w nauce, nie ma więc sensu bezskutecznie lamentować z tego powodu.

Trudniej natomiast pogodzić się z tym, jak bardzo niedbale potraktował Patryk Pleskot prezentację Warszawy jako scenarii opisywanych historii. Ramy chronologiczne pracy są bardzo szerokie, w latach 1956–1989 stolica przeszła istotne przeobrażenia, kontekst miejski wydarzeń był więc za każdym razem trochę inny. Jednak autor nie czyni prawie niczego, aby przynajmniej trochę przybliżyć nam topografię miejsc zbrodni, jak też zasygnalizować te aspekty funkcjonowania stołecznej aglomeracji, które miały mniejszy lub większy związek z rekonstruowanymi w pracy przestępstwami.

Czytelnicy książki Patryka Pleskota żyją w odmiennej niż w czasach komunistycznych cywilizacji technicznej, toteż warto im przedstawiać w sposób plastyczny realia tamtych czasów, aby uchronić ich przed niebezpieczeństwem myślenia ahistorycznego.

Aby nie być gołosłownym: porywacze Bohdana Piaseckiego (uprowadzony 22 I 1957 r.) posłużyli się taksówką. Dziś większość młodych (i nie tylko) ludzi jest przyzwyczajona do zamawiania taksówki za pomocą jednego „kliknięcia” w telefonie komórkowym, toteż może nie dostrzec potrzeby zastanowienia się nad tym aspektem sprawy. Tymczasem taksówki w PRL to temat na osobne opowiadanie.

Milicja przez wiele godzin nie potrafiła odnaleźć wykorzystanego przy porwaniu Bohdana Piaseckiego pojazdu (choć znała jego numer rejestracyjny), zdołał to natomiast uczynić w ciągu kilkunastu minut pracownik PAX-u. Epizod ten dowodzi nieudolności funkcjonariuszy (lub ich złej woli), ale pozwala też przypuszczać, że aut o takim przeznaczeniu nie było w stolicy wiele. Autor nie podaje żadnych liczb na ten temat, lecz sięgając do danych statystycznych, dowiemy się, że w mieście zamieszkiwanym w 1957 r. przez ok. 1061 tys. osób zarejestrowano 1400 taksówek (w tym 490 komunalnych).

Zasadne jest więc zastanowienie się nad realną dostępnością tej usługi. W świadectwach pamiętnikarskich z czasów Polski Ludowej pojawia się obraz zdesperowanego tłumu na nielicznych postojach, który terroryzowany był przez nadjeżdżających z rzadka taksówkarzy okrzykami: „Tylko na Wolę!”, „Do zajezdni na Mokotowie!”. Nie przypadkiem w tamtych czasach świetnie funkcjonowała instytucja tzw. łepków — pasażerów podwożonych przez szoferów pojazdów służbowych<sup>1</sup>.

Analizując wydarzenia ze w stycznia 1957 r., należy mieć świadomość tych problemów. Porywacze młodego chłopca nie mogli zdać się na kaprysy pracowników MPT — musieli być przecież na ulicy Wejnerta o określonej godzinie, w chwili gdy Piasecki opuszczał budynek szkolny. Okoliczność ta uwiarygodnia istnienie niepokojącego aspektu ich relacji z kierowcą Ignacym Ekerlingiem, co wykazał zresztą później przebieg śledztwa.

Uprowadzając Piaseckiego taksówką, porywacze tak jakby zostawili na miejscu zdarzenia skrawek biletu wizytowego. Dzisiejszemu czytelnikowi nasuwa się myśl, że przecież mogli skrać jakiś pojazd (lepiej, żeby nie był to samochód służbowy) i porzucić go po realizacji swych zamiarów. Nie odgadniemy już ich kalkulacji, ale historyk powinien pokazać realia warszawskie w tym zakresie. Autor nie informuje, ile prywatnych aut jeździło wówczas ulicami Warszawy. Lektura źródeł pokazuje, że o ile do 1956 r. przeważały pojazdy w dyspozycji urzędów państwowych i miejskich, organizacji politycznych itp., o tyle w następnych latach przybywało wehikułów należących do indywidualnych właścicieli. Dominowały wśród nich samochody marki IFA, Wartburg i Fiat. Nie nadawały się jednak one do realizacji zaplanowanego przez porywaczy przedsięwzięcia ze względu na małe rozmiary i trzydrzwiowe nadwozie (pięciodrzwiowy Wartburg był produkowany dopiero od 1956 r.). Nie przesądza to sprawy, ale pokazuje ograniczenia, krępujące ruchy przestępców.

Wątek „samochodowy” występuje również w historii Jana Gerharda (zamordowany 20 VIII 1971 r.), który w ostatniej fazie życia był szczęśliwym (?) posiadaczem Fiata 125p. W początkach lat siedemdziesiątych dysponowanie własnym autem nie miało już cech niezwykłości, lecz przypadki takie nadal „rzucały się w oczy”. Potwierdza to fakt, że w dniu zabójstwa Gerharda jego sąsiedzi z wysokiego budynku przy ulicy Matejki zauważyli brak pojazdu dziennikarza na parkingu pod domem.

Tak jak wielu historyków badających archiwa Służby Bezpieczeństwa Pleskot mocno eksponuje wszechobecność tajnych służb PRL. Osoby przesłuchiwane po morderstwie dziennikarza zorientowały się, że funkcjonariusze resortu mają ogromną wiedzę o życiu intymnym

---

<sup>1</sup> Drobną ilustracją tych problemów: wracający ze Szwajcarii Zygmunt Mycielski czekał na taksówkę pod dworcem Warszawa Główna siedemdziesiąt pięć minut. Z. Mycielski, *Dziennik 1950–1959*, Warszawa 1999 (zapis z 14 VII 1957 r.).

ofiary. Autor twierdzi więc, że Gerhard był w latach sześćdziesiątych obserwowany przez MSW, powołując się przy tym na opinię Mieczysława F. Rakowskiego (s. 224).

Dlaczego właśnie redaktor naczelny „Polityki” ma być wyrocznią w tej kwestii? — to jedna wątpliwość. Gorzej, że autor zniekształca treść jego zapisków. Po rozmowie z oficerami Departamentu Śledczego Rakowski zanotował jedynie, że SB „dokładnie przewentylowała” życie prywatne Gerharda<sup>2</sup>. Wiedza ta mogła oczywiście pochodzić z wcześniejszej inwigilacji (Rakowski tego nie twierdzi!), lecz istnieje też inna możliwość, która stanowiła pochodną stylu życia redaktora „Forum”. Gerhard zajmował nowoczesny (jak na tamte czasy) lokal, natomiast w trakcie swych nocnych wędrówek odwiedzał cuchnące moczem podwórka i liszajowate klatki schodowe, prowadzące do mieszkań, których użytkownicy musieli korzystać z miednic i nocników, jako że brakowało tam bieżącej wody i kanalizacji. W tych biednych i zaniedbanych rejonach dziennikarz pojawiał się właśnie swoim fiatem, co nie pozostało niezauważone przez okoliczną ludność. Ponieważ dodatkowo pozostawił po sobie notes z adresami i telefonami, odtworzenie przez prowadzących dochodzenie kręgu kobiecych znajomości Gerharda przebiegło bardzo szybko.

Opis niektórych z przedstawianych w książce morderstw wymagałby elementarnego choćby objaśnienia geografii Warszawy. Trzy dni po zaginięciu Bohdana wysłannik Bolesława Piaseckiego miał oczekiwać na instrukcje telefoniczne porywaczy w popularnej restauracji „Kameralna” przy ulicy Foksal. Otrzymane tam polecenia skierowały ks. Mieczysława Suwałę w kolejne miejsca, gdzie zostawiono dla niego nowe informacje. Bardzo szybko wyszło przy tym na jaw, że sprawcy dostrzegli wzmożoną aktywność milicji we wskazanych przez siebie punktach miasta.

Trasa, którą wskazano ks. Suwale (ograniczam się tu jedynie do odtworzenia sytuacji z 24 I 1957 r.), wiodła z ulicy Foksal w rejon Solca, następnie na Saską Kępe, a wreszcie na Wał Miedzeszyński — autor nie podaje konkretnego adresu, ale z materiałów śledztwa wiadomo, że chodziło o rejon Mostu Średnicowego. Droga ze Śródmieścia na prawy brzeg Wisły (via Solec) liczyła w przybliżeniu ok. 3 km, biorąc więc pod uwagę ówczesnie małe, w stosunku do dzisiejszych realiów, natężenie ruchu, można było ją przebyć w ciągu kilku–kilkunastu minut, w zależności od środka lokomocji. W każdym razie sprawcy dostarczyli swym zachowaniem oficerom śledczym (a w następnej kolejności badającym sprawę historykom) wskazówek, które mogą pomóc w rozważaniach na temat liczebności grupy przestępczej.

Gdyby wyznaczona pełnomocnikowi Bolesława Piaseckiego marszruta była dłuższa, obejmując przy tym większe obszary miasta, jej obserwacja wymagałaby dużego zespołu ludzi. Natomiast do rozpoznania ruchów milicji na wskazanym odcinku wystarczyły dwie–trzy osoby. W wariancie minimalnym mogło być nawet tak: przestępca nr 1 rezyduje na ulicy Foksal, następnie udaje się na Saską Kępe; przestępca nr 2 czeka na Solcu, następnie podąża na Wał Miedzeszyński. Inna rzecz, czy ryzykowaliby oni jednak pojawienie się w tych miejscach.

Zachowanie się porywaczy pokazuje istnienie jeszcze innych możliwości. Pleskot nie zastanawia się, dlaczego upatryli sobie oni jako miejsce skrzynek kontaktowych budynki w Alei na Skarpie i na ulicy Jakubowskiej. Mógł to być wybór podyktowany względami technicznymi, bo np. ostatni obiekt miał ten walor, że idąc wzdłuż ściany pozbawionej okien, można było dostać się dyskretnie do drzwi wejściowych. Warto przy tym mieć świadomość, że cała akcja rozgrywała się w późnych godzinach popołudniowych, kiedy zapadający mrok

---

<sup>2</sup> M. F. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1969–1971*, Warszawa 2001, s. 473 (zapis z 11 X 1971 r.); podobnie s. 492 (zapis z 17 XII 1971 r.).

ułatwiał ukrycie się. Warszawa zaś w tym okresie, jak pokazują źródła, należała do miast o fatalnym stanie oświetlenia ulic.

Może jednak za tym doborem stały inne racje. Problem ten jest o tyle istotny, że niektóre ślady pozostawione mimowolnie przez bandytów wiązały się m.in. z linią trasy, którą jechała taksówka z uprowadzonym Bohdanem. W trakcie śledztwa wyszło bowiem na jaw, że w budynku, gdzie znaleziono później zwłoki chłopca, znajdowały się dwa lokale użytkowane przez Komendę Stołeczną MO. Patryk Pleskot powtarza ustalenia swych poprzedników w tej materii (s. 140, 141), ale sam nie rozwija tego wątku. Nie podaje też, że w domach na Solcu i Saskiej Kępie mieszkały osoby znające Ekerlinga.

Warszawa była pod wieloma względami miastem bardzo zróżnicowanym, a każdy, w zależności od zainteresowań, mógł znaleźć w niej coś ciekawego. Jest oczywiste, że inaczej widział Warszawę, powiedzmy, konserwator zabytków, inaczej zaś poruszał się po niej miłośnik sportu. To samo można powiedzieć, posługując się językiem z „Dzikiego Zachodu”, o „szeryfach” i „bandytach”.

Mieszkańcy stolicy znali obszary potencjalnie niebezpieczne i wiedzieli, że np. do bram niektórych domów przy ulicy Stalowej lepiej nie zaglądać wieczorem. Ale tzw. element kryminalny też miał własną mapę zagrożeń. W Warszawie, nie licząc rezydencji najwyższych dygnitarzy państwowych, istniały rejony zamieszkiwane zwarcie przez milicjantów, esbeków, oficerów WP, pracowników więziennictwa itp. Niezależnie od tego SB i MO posiadały we wszystkich dzielnicach lokale kontaktowe, operacyjne i pojedyncze mieszkania służbowe dla swoich funkcjonariuszy.

Przedstawienie obrazu Warszawy, uwzględniającego tego rodzaju aspekty, pozwoliłoby poszerzyć wiedzę o realiach tamtego okresu. Trudno, rzecz jasna, oczekiwać, by takie przedsięwzięcie dało się zrealizować szybko, lecz mapa owa mogłaby powstawać stopniowo, przy okazji badania wybranych wątków dziejów stolicy. Lecz Patryka Pleskota tytułowe miasto właściwie nie interesuje. W zaprezentowanym przez niego ujęciu akcja jego opowieści dzieje się, przywołując znaną frazę, „w Warszawie, czyli nigdzie”.

Rzeczywiste intencje autora lepiej oddaje podtytuł pracy — i w tym zakresie Patryk Pleskot wypełnia swe obietnice, bo pytań w tej książce pada niezwykle dużo. Szkoda natomiast, że tak rzadko towarzyszą im udokumentowane odpowiedzi.

Zagadki tajemniczych śmierci znajdują czasem po latach swe wyjaśnienie, częściej jednak pozostają tajemnicą. Miłośnicy Klio mają przy tym mniejszą szansę na sukces niż np. współczesne jednostki specjalistyczne policji, które potrafią wykorzystać do badania przestępstw z przeszłości najnowsze zdobycze nauki i techniki. Lecz chociaż historycy raczej nie ustalą: kto zabił?, to mogą próbować optymalnie przedstawić okoliczności dokonanych zbrodni, co jest już samo w sobie wartością poznawczą. W tym celu trzeba przede wszystkim dokonać wszechstronnej analizy śledztw, jako że zgromadzony na ich potrzeby materiał pozwala wnioskować zarówno o działaniach przestępców, jak i o umiejętnościach oraz motywach aparatu ścigania.

Pozostając przy tej ostatniej płaszczyźnie, z książki Patryka Pleskota wyłaniają się co najmniej trzy warianty sytuacji. I tak można przyjąć, że kierownictwo MSW знаło okoliczności śmierci Grzegorza Przemyka, a dochodzenie miało świadomie na celu obciążenie odpowiedzialnością niewinne osoby. Po zabójstwie Jana Gerharda sprawców szukano „po omacku”, chaotycznie, co usiłowano pokryć nadmiernie szerokim zasięgiem śledztwa. A wreszcie choć porywacze Bohdana Piaseckiego pozostawili po sobie wiele śladów, to MO/SB nie kwapiły się, aby podążyć ich tropem.

Rekonstruując wybrane przypadki zbrodni, autor sięgnął w pierwszej kolejności do literatury przedmiotu, część zamieszczonych w książce historii została już bowiem dość dobrze opisana. Przykładowo: tragedię ks. Niedzielaka odtwarzali m.in. Zbigniew Branach, Piotr

Łysakowski i Marek Lasota, jeden z aspektów śledztwa w sprawie zabójstwa Gerharda przedstawił Grzegorz Motyka, śmiercią Jerzego Zawieyskiego zajmowała się Joanna Siedlecka, natomiast porwaniu Bohdana Piaseckiego poświęcił dwie bogate materiałowo prace Peter Raina.

Obszerne objętościowo przypisy stwarzają wrażenie, że Patryk Pleskot nie zadowolił się tymi ustaleniami i przeprowadził własne badania. To jednak przeważnie pozory, bo baza archiwalna pracy jest bardzo skromna. Gdy chodzi np. o rekonstrukcję śledztwa w sprawie wyjaśnienia śmierci Emila Barchańskiego (zginął 3 VI 1982 r.)<sup>3</sup>, autor oparł swoje wywody o cztery źródła, a mianowicie notatkę sporządzoną przez Komisariat Rzeczny KS MO z 1983 r., opinię sporządzoną na podstawie analizy akt śmierci chłopca z lutego 1991 r., notatkę dotyczącą postępowania przygotowawczego, opracowaną w Prokuraturze Wojewódzkiej w Warszawie we wrześniu 1989 r. oraz notatkę Wydziału Śledczego SUSW z października 1989 r. Niektóre z opinii zaczerpnął ze wspomnień matki zabitego, nie konfrontując ich z innymi przekazami. Chociaż Krystyna Barchańska podkreślała „czynne i ofiarne” wspomaganie opozycji przez Krystynę Pochwalską (matkę Szymona, który odegrał w sprawie śmierci Emila tajemniczą rolę), to należało zapoznać się z materiałami nt. Pochwalskiej w zbiorach IPN, które zawierają zastanawiające wątki w jej życiorysie.

Dokumentacja postępowania po śmierci Jana Gerharda liczy co najmniej 236 tomów, podczas gdy w książce wykorzystano głównie materiały z dwóch teczek (AIPN 01221, t. 1 i 3), a także opracowanie szkoleniowe MSW nt. działań operacyjno-śledczych grupy „Bieszczady”.

Gdy natomiast chodzi o śledztwo w sprawie porwania i zamordowania Bohdana Piaseckiego, posiada ono również wielotomową dokumentację archiwalną, ale Patryk Pleskot sięgnął przede wszystkim po sporządzone w 1963 r. przez Biuro Śledcze MSW wytyczne dla komórek resortu (opatrzone załącznikami), pismo okólne wiceministra MSW z 1965 r. i rozkaz komendanta głównego MO z 1967 r., teczkę osobową jednego funkcjonariusza organów bezpieczeństwa, a wreszcie kilka pojedynczych dokumentów. Tak wyselekcjonowany materiał pozwolił autorowi jedynie na powtórzenie ustaleń znanych z wcześniejszych opracowań, bez możliwości ich weryfikacji.

Trudno jest więc autorowi przedstawić specyfikę niektórych dochodzeń. Pleskot podaje np., że wśród osób przesłuchiwanym w 1964 r. przez SB w sprawie śmierci Bohdana Piaseckiego znajdowała się m.in. matka Grzegorza Przemyka Barbara Sadowska (s. 25, 149), a w MSW łączono z tą zbrodnią także Marka Hłaskę i Leopolda Tyrmanda (s. 152). W rzeczywistości lista ta była o wiele dłuższa, a figurowali na niej niewymienieni w książce Gustaw Gottesman, żona Jerzego Kirchmayera i wielu innych. Samo wyliczenie owych nazwisk ma posmak pikantnej ciekawostki, która każe powątpiewać w poczytalność funkcjonariuszy resortu. Jeśli zapoznamy się natomiast dokładniej z przebiegiem śledztwa, to możemy nabrać w sposób uprawniony przekonania, że podejrzanych typowano według logicznie skonstruowanego planu, choć jego celem niekoniecznie było znalezienie winnych.

Poszukiwanie sprawców zbrodni przynosiło okazjonalnie niespodziewane rezultaty. Przesłuchując masowo osoby znające Gerharda, SB mogła przypuszczać, że zgromadzi mnóstwo materiału nt. życia towarzyskiego dziennikarsko-artystycznych „salonów” Warszawy, natomiast odkrycie przemytniczego szlaku przez południową granicę kraju, z udziałem obywateli Włoch, było już dla służb nieplanowanym bonusem (Pleskot nie omawia tego wątku). Na tej samej zasadzie śledztwo po zabójstwie Jana Strzeleckiego pozwoliło milicji zlokalizować parające się przestępczością kręgi robotniczej załogi zakładów na Żeraniu. Te aspekty dochodzeń nie wzbudziły jednak zainteresowania autora.

---

<sup>3</sup> Abstrahuję tu od wykorzystania przez autora materiałów o opozycyjnej działalności Emila i jego kolegów.

Przedstawione w książce historie pozwalają uznać, że bardzo istotną dla historyka kwestią jest ocena poziomu kompetencji aparatu ścigania w czasach PRL. W pracy znajdujemy sporo przydatnych w tej mierze danych, lecz Patryk Pleskot nie próbuje zmierzyć się z całym problemem w sposób kompleksowy. Nie podejmuje próby analizy metod śledczych, dostrzegalnego w notatkach funkcjonariuszy stylu argumentacji, jakości języka, jakim się posługiwali, znaczenia doświadczonej przez nich indoktrynacji dla konwencji postrzegania świata.

Najwięcej bowiem uwagi poświęcił Patryk Pleskot klasyfikacji przestępstw według stopnia ich polityczności. Autor deklaruje we *Wstępie*, że za morderstwa polityczne uważać będzie „zbrodnie popełnione z motywacji polityczno-ideowych w okresie pokoju” (s. 7). Jest jednak oczywiste, że aby wyselekcjonować tego rodzaju przypadki, należałoby poznać konkretnych sprawców, co czasem okazało się po prostu niemożliwe (*casusy* śmierci ks. Stefana Niedzielaka, Bohdana Piaseckiego, Emila Barchańskiego, Anieli Piesiewicz i in.). Równie trudne jest niekiedy zrekonstruowanie indywidualnych pobudek działania zbrodniarzy. Funkcjonariusze ZOMO, którzy bili Grzegorza Przemyska, zapewne nie kierowali się zasadą miłości bliźniego, a do świata „solidarnościowego” odnosili się apriorycznie wrogo, ale — jak przyznaje sam Pleskot — wątpliwe jest, aby wiedzieli, kim jest zatrzymany chłopak, i potrafili połączyć jego osobę z działalnością opozycji (s. 73). *Notabene*, dywagując na ten temat, autor nie sprawdził, czy jest możliwe ustalenie, w których komisariatach przebywał Przymek w czasie poprzednich aresztowań (w 1982 r.), jak też czy z tymi komisariatami byli może związani milicjanci, którzy zatrzymali chłopca 12 V 1983 r. na placu Zamkowym.

W dalszych poszukiwaniach definicji autor dodaje, że za przydaniem zbrodni charakteru politycznego przemawiają odczucia zarówno władz, jak i społeczeństwa (s. 8). Tym samym jednak niesłuchanie poszerza obszar potencjalnej obserwacji, albowiem — jak pokazują doświadczenia także i innych krajów — odruch poszukiwania przez opinię publiczną politycznego tła tajemniczych śmierci jest bardzo silny, przybierając czasem postać aberracji.

Patryk Pleskot zapowiada wreszcie, że pominie próby zamachów wymierzonych w „przedstawicieli władzy”, koncentrując się na przypadkach związanych z „opresyjnością systemu politycznego ludowej Polski” (s. 8). Zawężenie takie jest do przyjęcia, ale książka pokazuje, jak trudno o pełną klarowność w tym zakresie. Bo chociaż np. Jana Gerharda nie można oczywiście nazwać „przedstawicielem władzy”, to nie ulega wątpliwości, że należał do szeroko rozumianego obozu władzy.

Rozważania teoretyzujące, łącznie z werbalnym odwoływaniem się do Maxa Webera, przysporzyły więc autorowi wielu kłopotów, gdyż, jak sam przyznaje, definicje nie są w stanie pomieścić bogactwa elementów składających się na konkretne zbrodnie (s. 8). O wiele większą słabością książki okazał się jednak sposób, w jaki Patryk Pleskot starał się określić zakres polityczności opisywanych mordów. Jako że nie poszedł drogą przeprowadzenia pełniejszej kwerendy archiwalnej, usiłował nadrobić ten mankament intensyfikacją myślowych spekulacji i hipotez, opartych jednak najczęściej na zupełnie niesprawdzonych/niesprawdzalnych plotkach, podejrzaniach i odczuciach osób żyjących w tamtych czasach. Po wyliczeniu różnych przypuszczeń w każdej z omawianych historii autor przeważnie zmuszony jest w końcu przyznać, że nie mają one pokrycia w faktach czy źródłowych dowodach, choć niezbyt poczuwa się do obowiązków przewodnika, który ma pomóc czytelnikowi ustalić stopień prawdopodobieństwa i genezę narodzin owych pogłosek. Czasami wręcz odwrotnie, sposobem stawiania pytań dostarcza natchnienia wyznawcom teorii spiskowych, skłonny w każdym wydarzeniu upatrywać efekt działania tajemniczych sił (w tym wypadku tzw. służb).

Pleskot przywiązuje np. znaczenie do faktu, że zarówno Emil Barchański, jak i Grzegorz Przymek zmarli tuż przed swoimi urodzinami (s. 175). Cóż jednak miałyby z tego wynikać? Nieodżałowanej pamięci Kazimierz Górski powiedziałaby zapewne w takiej sytuacji, że ludzie umierają albo w dniu rocznicy swoich urodzin, po nim albo przed nim...

Zastanawiając się, czy zabójstwo Anieli Piesiewicz miało podłoże polityczne, Patryk Pleskot za istotną okoliczność w tej mierze upatruje datę śmierci matki znanego adwokata, tj. noc z 21 na 22 VII 1989 r. To jednak za mało na dowód — przyznaje — zwracając wszakże dalej uwagę „że tego samego dnia w tajemniczych okolicznościach zmarł we Wrocławiu Marek Stróżyk, współpracownik wywiadu wojskowego, skrępowany i powieszony na kablach” (s. 244). Niestety, autor nie zdobył się na dokładniejszą analizę porównawczą obu historii, zostawiając czytelnika z tą sensacyjnie brzmiącą, lecz powierzchowną supozycją.

Z pytań postawionych w sprawie Edwarda Wasilewskiego „Wichury” (zmarł 22 VIII 1968 r.) mogłoby wynikać, że „tajemne siły” czekały aż dwadzieścia lat na inwazję państw Układu Warszawskiego na Czechosłowację, aby wreszcie „dopaść” znenawidzonego wroga z lat czterdziestych, który w międzyczasie stał się już bezsilnym alkoholikiem (s. 251). Z takim podejściem trudno właściwie dyskutować. Bo chociaż w teorii prawie wszystko jest możliwe, nawet np. i to, że przywódcy Państwa Islamskiego przyjmą chrześcijaństwo, to historyk powinien jednak przedstawić choć okiupinę dowodów na poparcie swych domniemywań.

Teoria spiskowa o zemście przychodzącej z przeszłości pobrzmiwa też w opisie sprawy Jana Gerharda. Jednym z wątków śledztwa było szukanie sprawców w środowiskach uwikłanych w walki polsko-ukraińskie w Bieszczadach i zgon Karola Świerczewskiego. Patryk Pleskot przypomina, za Grzegorzem Motyką, tamtą historię, eksponując opinie, według których śmierć generała nie była dziełem przypadku, lecz ukartowanego przez Moskwę przedsięwzięcia (s. 232).

Tego rodzaju podejście jest pochodną występującego w części opinii publicznej i u niektórych historyków przekonania o wyjątkowości polskich dziejów. To niemożliwe — według tego sposobu myślenia — aby nasi ważni rodacy ginęli ot tak sobie, skutkiem nieszczęśliwego przypadku; musiały się kryć za tym nadzwyczajne powody, głównie spisek wrogich nam sił. Tak miało być również z gen. Świerczewskim. Tymczasem gdy przyjrzymy się uważnie historii UPA, śmierć „Waltera” traci cechy wyjątkowości.

Najbardziej znamieny dowód to porównywalny przypadek dowódcy I Frontu Ukraińskiego, gen. Nikołaja Watutina, który został śmiertelnie ranny 29 II 1944 r. w zasadzce zastawionej przez ukraińskich narodowców w rejonie Ostroga na Wołyniu<sup>4</sup>. Zarówno Watutin, jak i Świerczewski odbywali inspekcję podległych jednostek, przemierzali się przez rejony zagrożone obecnością UPA, lecz wskutek zlekceważenia tego niebezpieczeństwa nie byli chronieni przez wystarczające siły wojskowe. W obu przypadkach partyzanci ukraińscy nie polowali na nieprzyjacielskiego generała, bo nie wiedzieli o jego obecności, zaatakowali zaś kolumnę samochodową wroga, licząc na zdobycie zaopatrzenia. Atak nie przyniósł napadniętym poważniejszych strat, za wyjątkiem śmierci głównodowodzącego. Chociaż Patryk Pleskot lubi analogie, to tej akurat zupełnie nie dostrzega.

Podniesione powyżej wątpliwości nie są jedynymi, jakie wywołuje recenzowana książka. Jej lektura prowadzi do wniosku, że pod względem precyzji wypowiedzi i stopnia wnikliwości polscy historycy dziejów najnowszych nadal pozostają w tyle za mediewistami czy nowożytnikami.

W warstwie popularyzatorskiej praca Patryka Pleskota ma sporo zalet. Jest interesująco napisana, gromadzi w jednym miejscu *dossier* wielu głośnych swego czasu spraw, może zaspokoić oczekiwania zarówno miłośników sensacji, jak i odbiorcy, który potrzebuje elementarnej wiedzy o czasach PRL. Natomiast czytelnik szukający dogłębnej analizy problemów strawą przygotowaną przez autora raczej się nie pożywi.

Andrzej Chojnowski  
Warszawa

<sup>4</sup> Watutin zmarł 14 IV 1944 r. w szpitalu wskutek powikłań wywołanych zgorzelą gazową.